

PRZEŁOM

„Mam już tego dosyć! Koniec ze wszystkim! Co mi po dobrych stopniach i po uznaniu? Po co dalej żyć? Jeśli nie ma wieczności, wyjścia poza granice życia cielesnego, to lepiej już teraz skończyć”. Tak się to we mnie huśtało i jednocześnie tłukło. Rewolwer leżał na stole. Było to o wpół do czwartej po południu. „Uczynię to tutaj, sam w tej chwili”... I w tym momencie usłyszałem wyraźny głos: „Co chcesz uczynić? Istnieje życie wieczne. Ty jednak stoisz przed zatraceniem”. Akcent spoczywał na wyrazie „wieczne”.

Nie śniłem przecież. Stałem prosto, nic się nie opierałem. „Czyżby mnie ktoś zobaczył?” przebiegło mi przez myśl. Ale nie, nikt nie mógł mnie widzieć. Rewolwer wypadł mi z ręki. Wiedziałem, że ktoś tu jest; ktoś, kogo nie jestem w stanie ujrzyć; ktoś czuwający nad moim życiem; ktoś, kto nie chce mojej zguby i kto poprzez swoje niewidzialne wystąpienie przeszkodził mi w samobójstwie. Gdzie jest ten Ktoś? Rozejrzałem się wokół siebie i długo nie byłem w stanie się ruszyć. Ale również nie odważyłem się otworzyć ust i zawołać do Boga, do którego zwykł modlić się mój zmarły ojciec. Właściwie chciałem wymówić imię Pana, ale nie miałem odwagi ani siły. Wszystko we mnie było jakby chrome. I wówczas wynurzała się przede mną okropna myśl: „Tak, to Bóg jest tutaj, On istnieje. Istnieje też życie wieczne. Ale nie jest ono dla mnie dostępne. Ja już jestem wydany na zatralenie. Nie ma już dla mnie łaski”. Dzisiaj wiem, dlaczego targały mną takie myśli. Było to działanie wroźby owej Cyganki, a także efekt tego, że naczałem się książek spirytystycznych. Byłem jakby okulałym niewolnikiem, który wprawdzie chce się wyrwać i uwolnić, ale już nie potrafi. Oczekiwałem więc wiecznej zguby. Nieraz przeklinałem tę godzinę, w której przeszkodzono mi podnieść rękę na swe życie. Stałem się obojętny i apatyczny. Nie interesowały mnie już zgromadzenia wierzących.

Pojechałem do domu. Maturę zdałem znakomicie. Byłem prymusem. Mnie, Niemca, rekomendowano do Warszawy na studia społeczno-polityczne. Wyglądało na to, że uśmiechnęła się do mnie życiowa szansa. Przygotowywałem się do tego i zacząłem się uczyć angielskiego, bo nie mieliśmy tego języka w szkole. Inni wiedli prym, a teraz i mnie na tym zależało. Szczególnego rodzaju satysfakcja kołała mą niespokojną duszę. Pewnego niedzielnego popołudnia wpadły mi w rękę pieśni, które ułożył mój ojciec będąc w ciężkiej niewoli na Syberii, oddzielony od żony i dzieci. Zwłaszcza wiersz „Bez ojczyzny” chwycił mnie za serce. Wchodził on w najgłębszą strefę bólu rozłąki, po czym wznosił się wysoko, coraz wyżej, aż ku nieskończoności, ku wielkiej, nie-wysławionej radości — do Boga! Poruszyło mnie to mocno. Dawno już tak nie płakałem. Płakałem długo, bardzo długo. A potem przypłynęły do mnie słowa: „Ty jesteś Bogiem moich ojców, mego własnego ojca”. Przed oczyma stanął mi Psalm 23. Już chciałem otworzyć usta i zawołać do Boga. Byłem już tak blisko, tak bardzo blisko, ale nie mogłem się przemóc. „Ta łaska jest dla innych, dla ciebie jest już za późno. Roztrwonileś już swój czas”.

Mijały dni, zmieniając się w tygodnie. I znów zaszło coś nieprzyjemnego w domu. Miałem siedmioro młodszego rodzeństwa. Powinienem być dla nich przykładem. A tymczasem wybuchałem nieraz złością. Kiedyś, pamiętam, jedliśmy obiad: matka, siostra starsza ode mnie o trzy lata oraz ta siódemka młodszych. Najstarsze z nich powiedziało coś, co mi się nie spodobało. Ogarnęła mnie złość. Chwyciłem widelec i rzuciłem nim w brata. Matka głośno się rozplakała. Wstałem i wyszedłem na pole, by być sam. W owej godzinie uświadomiłem sobie, że jestem związany, związany jakąś złą mocą, przez samego szatana. Tak, rozpoznałem, że istnieje diabeł, wróg ludzkiej duszy. Nie chciałem czynić nic złego, a jednak zostałem do tego zmuszony. Miałem być przykładem, wzorem i tego chciałem. Zadawałem sobie trud, jaki tylko można wymyśleć. Prowadziłem nawet pamiętnik z takimi zapiskami jak: „Postanawiam sobie nigdy już się nie złościć” lub: „Od dzisiaj nie będę już przeklinać”. A jednak ciągle piekło znajdowało we mnie

wystarczającą ilość paliwa i podpałało je błyskawicznie, a trujące opary dymu obrzydliwej złości rozchodziły się na mych niewinnych bliźnich. Chciałem się wreszcie z tego wyzwolić.

W pewną niedzielę, pamiętam, że było to 13 stycznia, znajdowałem się sam w domu. Było około trzeciej po południu. I oto nagle odezwało się coś we mnie: „Uklęknij teraz, zawołaj do Pana, a otrzymasz światło na temat siebie samego i wszystkiego”. Przyszła również siła. Ukląknęłam i zacząłem się głośno modlić. Choć byłem z natury silny, drżałem na całym ciele. Krzyczałem do Boga, Boga mego ojca: „Zlituj się nade mną! Daj mi jakiegoś człowieka, który by mi wskazał drogę do Ciebie. Chcę być wolny. Sam obiecałeś. Jestem zniewolony przez szatana. Pomóż mi więc!” Gdy pomodliłem się do końca, przyszedł nieznany dotąd pokój. Poczułem, że zostałem wysłuchany!

Dwa tygodnie później, w poniedziałek 28 stycznia wczesnym rankiem, odwiedził nas znany powszechnie agent handlowy z Łodzi i jak zwykle zaoferował swe materiały. Gdy już chciał odejść, zwrócił się do mojej siostry ze słowami:

— Marto, jest u nas kurs biblijny, czy nie słyszeliście o tym? Znów przyjechał brat Schmidt, który był już kiedyś u was. W dzień będą rozważania biblijne, a wieczorem ewangelizacja. Przyjedźcie do brata Kowalskiego (u którego odbywały się spotkania zielonoświątkowców).

Ruszył ku wyjściu. Zaraz zabrzmiało mi w uszach: „Widzisz, zaprosił Martę, a nie ciebie, twój czas już się skończył”. Ale w drzwiach się zatrzymał, popatrzył na mnie tak jakoś szczególnie i powiedział:

— Panie Krüger, pana również zapraszamy serdecznie. Kamień spadł mi z serca. Odnalazłem szybko Biblię mego zmarłego ojca i pospieszyłem na miejsce spotkania. Miałem nogi jakby uskrzydłone. Ranek i popołudnie minęły błyskawicznie. Chociaż niczego nie pojąłem z tych wykładów biblijnych, czułem się szczęśliwy, że jestem na spotkaniu. Wieczorem była ewangelizacja. Śpiewano dużo krótkich pieśni, które nazywano refrenami. Było to dla mnie coś nowego. Ale śpiewałem z innymi. Następnie usłyszałem świadectwa dwóch młodzieńców. Mówili o swym szczęściu, jakie odnaleźli w Jezusie Chrystusie. Kazanie Amerykanina było krótkie. Po nim zaśpiewał pewien brat z Łodzi, Alfons Mittelstadt. Jego pieśń trafiła mi do serca, bo przedstawiała moje życie i mój obecny stan. Ludzie stopniowo zaczęli wychodzić, a ja stałem jak przygwożdżony. „To jest godzina łaski, dzień twego zbawienia”. Inny głos chciał mnie oderwać: „Zaczekaj jeszcze, jesteś już wolny i spokojny. A jeśli dzisiaj całkiem się nawrócisz, nie będziesz już mógł rozpocząć dalszych studiów”. Stałem niezdecydowany. W tym momencie brat Fryderyk zwrócił się do mnie:

— Gerhardzie, dziś wzywa cię twój Zbawiciel, przyjmij Go więc. Długo czekał na ciebie.

Łzy spływały po policzkach tego duchowego ojca w Chrystusie. Nigdy nie zapomnę jego kochanej twarzy. To właśnie on od roku 1913 aż do owej godziny wstawiał się nieustannie do Boga za mną. Ukląknęłam i modliłem się. Ale nie byłem sam. Około 20 innych młodych ludzi wołało na kolanach do Boga o łaskę, wyznając swe grzechy. To było prawdziwe przebudzenie. Wiele płaczu i szlochania, przebaczeń i wyznań. Nie przeszkadzało mi to, co się wokół dzieje. Podniósłszy ręce zacząłem nagle wołać: „Jezus! Jezus! Jezus! Jezu, Ty umarłeś za mnie! Zbawiłeś mnie, uwolniłeś, odkupiłeś swoją własną krwią! Poszedłeś na krzyż, jaki mnie się należał!” Łzy radości płynęły mi z oczu. Potem wstałem z kolan i głośno powiedziałem: „Bracia, zaśpiewajcie pieśń: «Jestem zbawiony, czy znasz to słowo? Jakże brzmi słodko dla mnie. Mój Zbawiciel zawołał tam na krzyżu: wypełniło się dla ciebie! Teraz wolno mi śpiewać i radować się w moim Zbawicielu, który mnie tak uszczęśliwił”. Jeszcze tego wieczora złożyłem świadectwo o moim Zbawicielu.

Kiedy wróciłem do domu, obudziłem swą kochaną matkę i poprosiłem o wybaczenie. Była bardzo zdumiona. A potem przełamała swą nieufność do mnie i modliła do Boga. O “zielonoświątkowcach” nie było owego wieczoru żadnej mowy. Matka cieszyła się, że “Złośnik” zginął, a przed nią stał jakby nowo narodzony syn. Tego samego wieczoru moja siostra nawróciła się, a po tygodniu jeszcze jeden z braci.

Parę dni później odezwało się we mnie: “Pójdź i przyznaj się właścicielowi majątku, że skradłeś mu z pola strąki grochu”. Rozpętała się wewnętrzna walka. Jednak również nazajutrz odbierałem to samo wezwanie. Poprosiłem więc Boga o siłę i odwiedziłem tego polskiego gospodarza, który jednocześnie był w naszej wsi wójtem. Przyjął mnie bardzo uprzejmie, a ja przyznałem się mu do tego grzechu, będąc głęboko poruszony.

— Niech ci Bóg błogosławi, młodzieńcze. Pozostań wierny Bogu i bądź błogosławieństwem dla swego otoczenia.

Wzruszony uścisnął mi dłoń. W drodze do domu odczuwałem wielką radość. Nowa pieśń rozbrzmiewała w moim sercu i śpiewałem coraz głośniej. Było jeszcze wiele takich dróg. Nie od razu, lecz w pewnych odstępach czasu. Nie potrzebowałem rozmyślać wiele o swym starym życiu i doszukiwać się w pamięci tego, co powinienem uporządkować, gdyż Duch Boży sam mi o tym przypominał. Miałem tylko słuchać Jego głosu. Chwała i dzięki Mu za to!

A potem przychodzili znajomi. Wielu chciało posłuchać, jak nawróciłem się u zielonoświątkowców. Szczerze i swobodnie wyznawałem im: „Bóg mnie nawrócił. Dał mi łaskę. I chcę na zawsze do Niego należeć. Módlcie się jednak za mnie, abym pozostał Mu wierny”. Nie patrzono na mnie krzywo za tę naukę. Lubiłem godziny kontemplacji w tej szczególnej społeczności u boku Jezusa. Pragnąłem wielbić Go, modlić się do Niego, radować się Nim.

I gdy znajdował się też ktoś taki, klękaliśmy i razem trwaliśmy w modlitwie.

Brat Fryderyk Kowalski miał sędziwą matkę (sam miał już ponad pięćdziesiątkę). Stała się ona dla mnie drogą przyjaciółką w Chrystusie. Często przy niej siadywałem i opowiadała mi o swych głębokich doświadczeniach z Jezusem. Jej świadectwa są mi jeszcze dzisiaj błogosławieństwem.

Ale wątpliwości moje bynajmniej się nie skończyły. Pewnego dnia, kiedy wracałem z pola, po drodze znów dręczyła mnie myśl, czy rzeczywiście jestem uratowany. Czy moje imię faktycznie figuruje w Księdze Żywota, czy też może pewna wspólnota przyjęła mnie do siebie? Ukląknęłam wśród żyta i przy zachodzie słońca powiedziałem Jezusowi: „Zbawicielu, słyszysz te wątpliwości, ratuj mnie więc przed nimi!”. Wówczas przepłynęła przeze mnie wielka radość. Nie byłem w stanie otworzyć ust. Otoczyła mnie głęboka, święta cisza i odezwało się we mnie:

„Moje imię figuruje w księdze życia,

wiem o tym z całą pewnością.

On wziął na siebie przekleństwo grzechu,

zniszczył mój list dłużny”.

Była to pieśń często śpiewana w czasach przebudzenia. Potem wstałem z kolan i zaśpiewałem ją pełnym

głosem. Od owego dnia aż do dziś zawsze zwyciężałem taką pokusę. Chwała Imieniu Pana!

Nieco wcześniej przeżywałem w trakcie czytania pewnej książki wątpliwości na temat mego nawrócenia. Autorem jej był pewien pastor. Opisał on tam swe nawrócenie. Spojrzałem w siebie:

„Nie, ja tak swego nawrócenia nie przeżyłem”. Czytałem i inne książki. Również w nich nawrócenia wyglądały inaczej niż moje. Zwątpienie to wzmocniło się, radość i pokój zaczęły powoli znikać. Ukłękłem wówczas przed Biblią i modliłem się: „O, Panie, daj mi jakieś słowo z Twej księgi, abym zobaczył, że mnie nawróciłeś”. Otworzyłem i znalazłem Słowo Boże zapisane w Ewangelii św. Jana 3,16. Bóg spojrzał na mnie i pomógł uzyskać zaraz właściwe słowo. „A więc Bóg pokochał świat.” „Tak, ja należę do świata. Ty mnie pokochałeś. Jestem Twój, bo wierzę Twemu słowu. Ty, Jezu Chryste, umarłeś za mnie i Swoją krwią pozyskałeś mnie na wieczną własność”. Od owej godziny Biblia stała się moją doradczynią we wszystkich sytuacjach. Pewnego razu przyszedł do mnie wujek i powiedział:

— Słyszałem, Gerhardzie, że chcesz się dać ochrzcić. Czy to prawda?

Właściwie dotąd nie myślałem o chrzcie. Teraz zacząłem. Czytałem Dzieje Apostolskie i znalazłem tam słowa: „Upamiętajcie się i niechaj się każdy z was da się ochrzcić w imię Jezusa Chrystusa”. Tak, pokutę dał mi Bóg. Ale chrztu jeszcze nie przyjąłem. „Panie, chcę to zaraz uczynić!” Wkrótce też odbył się mój chrzest. Posłużyła temu rzeka mojej rodzinnej wioski. Zebrały się setki ludzi, Niemcy i Polacy. Bracia poprosili, abym po polsku powiedział świadectwo o swym nawróceniu i wyjaśnił chrzest. Spojrzałem ku Panu. „Czy mam powiedzieć publicznie kazanie, ja nędzny człowiek, który tak długo nie znałem Ciebie, mój Zbawicielu?” Wówczas przeniknęła mnie cudowna moc Boża, słowa zostały jakby włożone mi w usta i zacząłem mówić bez strachu, wypełniony miłością Jezusa. Stało się prawdą to, co wypowiedział mój sąsiad pewnego razu, w roku 1916: „Gerhard będzie kaznodzieją”. Ale dopiero wiele lat później, w roku 1959 — jak już wspominałem — sam dowiedziałem się o tym.